Refleksja nad wiarą. Rozważania na Wielkanoc.



Święty Franciszek z Asyżu, Włochy, fot. JulianaSaldanha z Pixabay

Stefan Król (1937-2015)

Różne są drogi przyjmowania i akceptacji wiary, różne sposoby jego rozumienia. Jest wiara radosna, akceptująca w zachwycie całe stworzenie, wiara pokornie znosząca krzyż życia, wyrażająca sie w hymnach dziękczynienia, jak wiara franciszkańska; jest wiara pełna zdumienia i zaskoczenia: *jest Bóg widziałem Go*, wiara nowonawróconych, jak wiara zmarłego wielkiego przyjaciela Jana Pawła II – Andre Frossarda; jest wiarą codziennych pacierzy porannych i wieczornych, wiara utrudzonego znoju – od świtu do zmierzchu, jak wiara wieśniaków z powieści Reymonta, jest wiara rozterek, wiara ucieczek i powrotów, wiara utracona i odzyskana, jak wiara wielu z nas; jest wreszcie wiara – jednocześnie wiary i

niewiary – wiara do konca nieposkromionego buntu, wiara pokonanego sprzeciwu: *Galilejczyku zwyciężyłeś*, jak wiara uczciwych „kibiców" Kościoła; jest jeszcze spychana w podświadomość i odzywająca się tylko w chwilach ciemnych i samotnych wiara zagubiona, gdy – jak w wierszu Jana Twardowskiego – *biorąc tom Lenina z szafy na ręce, szukam zwykłej wiary dziecięcej.*

Racjonalizująca refleksja nad wiarą jest tak stara jak sama wiara. Teologia ma przecież wielowiekową historię, a ojcowie i doktorzy Kościoła to ludzie szczególnie zasłużeni w rozpoznawaniu kompetencji wiary i rozumu, w kształtowaniu naszego powołania życiowego. W dawnej teologii mówiło się: światło wiary i światło rozumu. Ideałem było, aby te dwa światła zlały się w jedno wzmacniające się wzajemnie. W ciągu wieków wytworzyły się nawet pewne tradycje myślenia o wierze. Jeśli wiarę przyjmiemy jako fakt pierwotny, mówimy: wiara szukająca zrozumienia, umieszczając się tym samym w tradycji sięgającej św. Augustyna. Gdy myślimy że, kierując się swiatłem rozumu wzbogaciliśmy światło wiary, wtedy święty Tomasz będzie patronem naszej refleksji, a sytuację odnajdywania wiary opiszemy mówiąc: rozum szukający wiary. Kościół katolicki roztropnie akceptuje obie i żyje obu tradycjami. Ważny jest efekt końcowy.

Ten sięgający głęboko w historię podział jest dzisiaj nie tylko nieadekwatny, co nie chwytający współczesnych problemów wiary. Problemem nie jest już wzmocnienie jednego światła przez drugie. Dzisiejsze projekty oświetlenia chcą ograniczyć światło wiary do prywatnych przedpokojów – broń Boże nie dopuścić tego światła na place publiczne – na salonach ma królować Liberalny Rozum.

Tymczasem zauważamy, że o dogmat Trójcy Świętej nie kłócą się już dziś przekupki na targu w Konstantynopolu, jak pisał kiedyś Tadeusz Zychiewicz. Na ulicach naszych miast pod osłoną demokracji demonstrują natomiast zwolennicy dwu odmiennych orientacji: zostawić czy odebrać Bogu prawo decydowania o początku i końcu życia ludzkiego; przyznac grzechowi realne istnienie w życiu ludzkim i tym samym dopuścic, aby ludzie grzeszący czuli się winni, czy też pożegnać się bez żalu z grzechem jako nieaktualną już i przebrzmiała umową społeczną, w zamian za to organizować różne tygodnie dumy z czegoś co, jeszcze niedawno było co najmniej wstydem; który Bóg jest Bogiem dla nas: czy Bóg Abrahama, Izaaka i Jakuba oraz Ewangielii i katolickiej tradycji, czy Bóg demokratów, którego prawa, prerogatywy i

obszary nieingerencji regulowane są wolą większości i interesem wyborców.

Wewnątrz Kościoła katolickiego ten „duch czasu" stworzył całkiem spore grupy tzw. „alekatolików". Ich postawę wyrażają – przykładowo – następujące przekonania: jestem katolikiem, ale nie cenię sakramentu kapłaństwa, solidaryzuję się z bohaterem jednej z bajek Andersa, który miał dziwną chorobę: nie mógł znieść widoku księdza. Gdy tylko jakiś ksiądz nawinął mu się na oczy, dostawał ataku wściekłości. – *Od księży nie może wyjść nic dobrego* – to niestety nie wymyślone, ale realnie wypowiedziane zdanie; jestem katolikiem, ale nie uznaję władzy biskupa mojej diecezji, jestem katolikiem, ale zakres nieomylności papieża ustalam ja sam w zależności od moich potrzeb; jestem katolikiem, więc uznaję istnienie prawd obowiązujących zawsze i wszędzie, ale moje „tu i teraz" jest tak specyficzne, że prwady wieczne nie mają tu dostępu, itd. Listę można ciągnąć dalej w zleżności od indywidualonych spotkań i doświadczeń.

Rozum walczy z wiarą – a może jeszcze gorzej – ignoruje wiarę, bo wiara urąga rozumowi – takie jest dzisiaj aprobujące przeświadczenie, jeśli nie większościowe, to w każdym razie większościowo powszechne. Dzisiejsza wiara szuka nie tyle zrozumienia co zastosowań.

Co może zrobić tzw. „szary człowiek" jeśli ta troska jest jego udziałem, jeśli nie jest zadowolony z obecnego „duchowego środowiska człowieka"? Chyba tylko to: być autentycznym świadkiem wiary. A to oznacza starać się przywracać blask cnocie i prawdę słowom. Oczywiście nie przywracać „na świecie", ale w swoim własnym życiu.

Napisałem „blask cnocie" i poczułem się nieswojo. Jakim językiem ja mówię? Od takich słów z daleka czuć zapach naftaliny. Własnie: to, że nie możemy użyć słowa bez cudzysłowu, bez grzecznościowego dystansu w najlepszym przypadku, świadczy nie najlepiej o sytuacji duchowej naszych czasów. Przecież to słowo miało kiedyś aureolę.

W tym felietonie chciałbym przypomnieć cnotę „prostą i łatwą", cnotę radości.

Przywracać prawdę słowom też trzeba zacząć od najprostrzego kroku: jasnego mówienia. Używać słów raczej „mniejszych" niż „większych", słowa pełne sensu

same będą rosły – takie byłoby pierwsze sposobem belferskim ujęte zalecenie.

Ten aspekt naszego mówienia i dyskusji, nie tylko teologicznych, ale także niektórych kazań niedzielnych, z niesłychaną trafnością uchwycił K.G. Chesterton. By odwołać się do przykładu*: życie cynobityczne*, zamiast; *życie wspólnotowe*, lub: *genialna wolnościowa myśl franciszkańska*, zamiast: *świadectwo św. Franciszka*.

A oto Cherteston:

> *Jeśli swoją wypowiedz zaczniemy od słów; Wszyscy kryminolodzy doceniają społeczną użyteczność bezterminowych wyroków upatrując w nich krok na drodze socjologicznej ewolucji ku bardziej humanitarnemu i naukowemu podejściu do problemu kar, to z powodzeniem możemy godzinami ciągnąć swój dyskurs bez konieczności odwołania się do naszych szarych komórek. Jeśli jednak nasze wstępne zdanie brzmieć będzie: Jones powinien iść do więzienia, a Brown powinien powiedzieć, kiedy Jones ma stamtąd wyjść, to ku własnemu przerażeniu zoriętujemy się że musimy myśleć. Długie słowa są wyjęte z ładunku treściwego, to własnie zwięzłość przydaje im mocy. W wykrzykniku „Do diabła!" Zawiera się o wiele więcej metafizycznej subtelności niż w terminie „degeneracja".*

Dlatego pewnie tak nas olśniewają teksty, które uwalniają pierwotną moc słów. Dla mnie takim olśnieniem jest publicystyka Hanny Malewskiej. Główny kanon jej publicystyki zawdzięczamy Andrzejowi Sulikowskiemu, który zebrał po różnych czasopismach rozproszone teksty w jeden tom: o odpowiedzialności i inne szkice *(Hanna Malewska: O odpowiedzialności i inne szkice, oprac. A. Sulikowski, wyd. Znak 1987).*

Hanna Malewska zmarła w 1983 r. Znakomita pisarka polska, znana jest przede wszystkim jako autorka świetnych powieści historycznych. Mniej znana jest jej publicystyka, choć jest to publicystyka najwyższej próby. Najmniej znany jest fakt, że Hanna Malewska była założycielką i wieloletnim redaktorem mieśięcznika „Znak", czasopisma, na którym wychowało sie kilka pokoleń inteligencji katolickiej w Polsce. Umiała mówić o wierze nie czytując filozofów, choć oczywiście myśl filozoficzna chrześcijańskiej Europy była jej doskonale znana. W jej osobie wiara szukająca zrozumienia i rozum szukający wiary złączyły się w całość. Jak u św. Tomasza z

Akwinu: wiara wieśniaka i wiara wyrafinowanego filozofa stały sie identyczne.

Tyle informacji tytułem wstępu do zamieszczonego niżej krótkiego felietonu Malewskiej pt.”Radość Doskonała”:

Kiedy św. Franciszek mówił z bratem Leonem o radości doskonałej, w czasie wspólnej wędrówki z Perugii do Asyżu, brat Leon zdumiewał się. Jak to, więc nawet łaska czynienia cudów nie jest radością doskonałą? Nawet znajomość wszystkiego, co jest w Niebie i na ziemi? Ani nawrócenie do Chrystuas wszystkich pogan taką wymową, jakby to sam Pan mówił przez usta nasze? „Nie bracie Leonie, owieczko Boża”. – Więc cóż?

Gdy przyjdziemy w zimną noc pod furtę klasztorną, głodni, bosi, zziębnięci, a furtian nie otworzy, lecz z gniewem powie: „opryszki jakieś jesteście, a nie bracia nasi” – i dalej trzeba będzie stać, znosić głód i chłód; i to że miłość naszą wzięto za podstęp, obłudę – stać i czekać aż ranek wybieleje… – To jest dopiero bracie Leonie radość doskonała.

Prostoduszny brat Leon, nim doszli jeszcze – zrozumiał. Wszyscy bracia zrozumieli, powtarzali tę rozmowę napełnili nią świat, który przebiegły wszerz i wzdłuż ich bose stopy.

Lecz warto może raz jeszcze wejrzeć w tajemnicę, która dla nich była zbyt trudną tajemnicą: że radość doskonała jest w doskonale zniesionym cierpieniu – i zapytać, o jakim to właściwie cierpieniu była mowa na drodze z Perugii do Asyżu?

Świety Franciszek był poetą; był z ducha błędnych rycerzy średniowiecznego chrześcijaństwa. Bezbronny stawiał czoła sułtanowi, chciał samoofiary misjonarzy w miejsce boju krzyżowców. Ogołocił sie ze wszystkiego i zniósł mękę stygmatów. I on, i bracia jego przecierpieli w życiu o wiele więcej niż chłód jednej nocy i burkliwość jednego zaspanego furtiana, wielu poniosło męczeństwo, więcej jeszcze gotowało się na nie przez całe życie.

A jednak ojciec franciszek idąc z bratem Leonem kamieńistą ścieżyną Umbrii nie męczeństwo, nie trudy misyjne, nie gniewy sułtanów nazwał radością doskonałą. Ale niewielkie właściwie utrapienie. Nie dające nic wyobrażni, nie żądające na

pozór wielkiego męstwa. Wszelką strawę zabierającą pysze. Takie, które się może zdarzyć każdemu i co dzień.

„Gdy to zniesiemy bez szemrania…" – radość każdego dnia może być doskonała.

Znieść ochotnie krzywdzące słowa – te najdotkliwsze od swoich – uśmiechnąć się do listopadowej pogody, mieć cierpliwość wobec słabości własnych poranionych nóg i łaknącego drżącego ciała, w milczeniu wyczekać ranka. To wszystko – w imię Chrystusa – dziś jutro i kiedykolwiek się przydarzy. I właściwie nic nadto, bracie Leonie, nie potrzeba.

Wspólna droga z Perugii do Asyżu wystarczyła, aby brat Leon zrozumiał świętego rozmówcę.

Czy my po prawie ośmiu wiekach od tamtej rozmowy, uzbrojeni w analityczne szkiełko i oko „nowoczesności", znający doskonale różnicę między chrześcijaństwem „starym" i „nowym", rozprawiający z niekrępującą się pewnością siebie o wolności, godności, powrocie do źródeł, naprawdę rozumiemy świętego Frańciszka? Czy rozumiemy choćby tak, jak nie mający kursów uniwersyteckich, ale pragnący czynić dobrze, brat Leon? Czy przypadkiem nie redukujemy świętego Franciszka do naszych celofanowo-sterylnych wyobrażeń, w których nie ma miejsca na cierpienie? Czy nie zalewa nas wielosłowie? A przede wszystkim: czy potrafimy postawić na serio pytanie brata Leona o radość doskonałą, kiedy dbamy jedynie o przyjemności?

Stefan Król, mieszkający w London, Ontario, zmarły w 2015 r. kanadyjski fizyk i felietonista.

Za udostępnienie materiałów dziękujemy żonie autora, pani Mariannie Król z Kanady.

Zobacz też:

Mały słownik staropolskich obyczajów wielkanocnych